Moby Dick po czukocku

Rdzenni mieszkańcy Czukotki mogą złowić 140 wielorybów szarych rocznie

FOT. SHUTTERSTOCK

Jacek Pałkiewicz

Po dwóch wiekach bezlitosnego zabijania na masową skalę zapotrzebowanie na walenie spadło. Miejscowa ludność Syberii oraz Alaski i północnej Kanady wciąż jednak korzysta dla potrzeb własnych z przyzwolenia na przybrzeżne łowy. Dla ludzi całkowicie uzależnionych od połowów morskich udane polowanie jest uroczystym świętem

Załóż to! – poleca Wołodia, podając mi kamizelkę ratunkową. – To ryzykowne zajęcie. Nie chcemy nieść odpowiedzialności za twoje życie". W małej myśliwskiej chatce Eskimosów w Lorino nad Cieśniną Beringa kilkunastu mężczyzn o śniadej cerze, czarnych włosach i lekko skośnych, niedużych oczach przygotowuje się do polowania na wieloryba, a dokładniej mówiąc – na jeden z jego gatunków: pływacza szarego. Po pięciu miesiącach kończy się powoli, trwający od kwietnia, sezon. Do tej trudno dostępnej krainy na rubieżach Rosji trafiłem w 2006 r., po dziewięciu godzinach lotu z Moskwy. Wylądowałem w Anadyrze, stolicy Czukotki, potem długo szukałem helikoptera, aby dostać się do nadmorskiej osady, leżącej raptem 150 km do Alaski.

Mieszka tu w skrajnie nieprzyjaznych warunkach wiecznej zmarzliny ok. tysiąca Czukczów, jednego z najstarszych, ginących ludów północy, i setka ostatnich żyjących z łowiectwa morskiego Eskimosów balansujących na granicy przetrwania. Rolnictwo jest niedostępne ze względu na zlodowacenie podziemne, a hodowla bydła nie wchodzi w rachubę, bo nie ma gdzie wypasać. Jedni i drudzy, wyrugowani przez sowiecki model społeczeństwa i gospodarki, przymuszeni do „ucywilizowania", zagubili swój tradycyjny styl życia, zaprzepaścili prastare umiejętności łowcze, bo na morzu dominowała flota wielorybnicza. ZSRS produkował ponad 40 proc. z całkowitej światowej produkcji i połączeni w kołchozy tuziemcy pracowali w tej branży na lądzie. Wszystko odmieniło się w wyniku gwałtownego spadku populacji tych zwierząt. W 1986 r. Międzynarodowa Komisja Wielorybnicza wprowadziła zakaz ich połowu, przyznając jednak pewne kwoty ludom, których życie i losy są od nich uzależnione. Na Czukotkę przypada 140 egzemplarzy rocznie.

Byłem naocznym świadkiem agonii sowieckiego imperium. Widziałem, jak zaczął się kapitalizm w wydaniu rosyjskim i co z tego wyniknęło: bezprawie i korupcja. Moskwa pozostawiła rdzenne mniejszości samym sobie, zapewniając szanse dla najbardziej przedsiębiorczych oligarchów, którzy znaleźli tu ziemię obiecaną, wiedzieli, jak eksploatować bogaty w surowce Czukocki Okręg Autonomiczny. Dostawy żywności praktycznie ustały i u mieszkańców pojawiło się widmo głodu. Zdani na łaskę losu, aby przetrwać, musieli na nowo uczyć się dawnego rzemiosła, a do tego czasu dożyli tylko nieliczni starsi ludzie, którzy się na tym znali.

Obecnie autochtoni starają się wrócić do swoich korzeni i wierzeń, ale widząc zakorzenione u nich uzależnienie od alkoholu, a także wysoki wskaźnik samobójstw, nie wiem, jakie mają na to szanse. Żyją skrajnie ubogo, zdecydowanie poniżej minimum egzystencjalnego, cierpiąc niejednokrotnie głód, codziennie poddając się testowi przetrwania. Produkty żywnościowe i inne towary docierają tutaj statkiem raz w roku. Połowy na wieloryby to dla nich sposób na wyżywienie. Podkreślam ten fakt, bo nie mam ochoty słuchać krytyki różnorakich bojowników, ich etycznej natury pytań i oskarżeń

o niehumanitarne zadawanie cierpienia fiszbinowcom zagrożonym wyginięciem. Mówią mi, że kiedyś zawitała tu grupka ekologów próbujących przekonać ich, aby zaprzestali polowań. Obiecali wysyłać im pomoc humanitarną. Nikt jednak nie przyjął tego na serio.

UZALEŻNIENI OD ADRENALINY

Jest godz. 6, poprzedniego dnia dostrzeżono na morzu ślady obecności waleni szarych, a pogoda jest korzystna, więc można wypływać. Nasza flotylla składa się z czterech łodzi motorowych, każda z czterema–sześcioma osobami. Jestem z trzema myśliwymi i dwoma 14-latkami, którzy przyuczają się do zawodu. Jeden z nauczycieli, daleki od moralizowania i akademickich lekcji, oszczędny w słowach, rzuca im: „Patrz, zapamiętaj, powtarzaj". Nie ma zbytecznych słów ani profesjonalnej inicjacji. Nikt nie wydaje też dyplomu „ukończenia edukacji", w odpowiednim czasie nastolatek otrzymuje harpun i wraz z dorosłymi wyrusza na polowanie.

Łodzie się rozpraszają. Wszyscy uważnie rozglądają się za białym zwiewnym obłoczkiem, wydechem zwierzęcia. Pośród nawoływań słychać, że ktoś dostrzegł trzy ssaki. Harpunnik na dziobie mojej motorówki też je wypatrzył i wymachując ręką, krzyczy podniecony: „Z prawej!". Natychmiast, przy akompaniamencie wycia silników, rozpoczyna się szalony pościg przypominający atak stada chartów za uciekającym niedźwiedziem.

Jednak walenie już zanurzyły się pod wodą i teraz trzeba poczekać pięć–osiem minut, kiedy ponownie wypłyną na powierzchnię, aby zaczerpnąć powietrza. Łowcy usiłują przewidzieć, gdzie mogą pojawić się następnym razem. W tym czasie muszą jeszcze ustalić, którego z trzech zaatakują. Najważniejsze jest, aby znaleźć się jak najbliżej miejsca, w którym pływacz szary się wynurzy. Idealnie być dwa–trzy metry od celu, a to zawsze jest najniebezpieczniejszy moment, bo prześladowany jednym machnięciem potężnej płetwy ogonowej mógłby wywrócić szalupę.

Gonimy więc na miejsce domniemanego spotkania. Harpunnik urywanymi słowami albo tylko gestem dłoni nakazuje sternikowi: „pełny gaz", „bardziej w lewo", „wolniej", „do tyłu", „stop, stop!". Od szybkości jego reakcji zależy zarówno bezpieczeństwo, jak i wynik polowania. Tony silnika zmieniają się nieustannie. Raz śmigamy, skacząc na fali z prędkością 40 km/h, potem robimy gwałtowny, prawie na miejscu zwrot, by po chwili stanąć w dryfie w zupełnej ciszy.

Wreszcie są. Krótka chwila pozwoliła dowódcy flotylli powziąć decyzję, który ssak będzie naszym celem, i wszyscy na nim się koncentrują. Nasza łódź okazuje się być najbliżej podczas kolejnego spotkania, ale stojący ze wzniesionym do ciosu drzewcem harpuna myśliwy na rozpędzonej, chybotliwej i podskakującej na rozkołysanym morzu łodzi nie był w stanie trafić i kilkunastometrowy kolos wyrwał się pogoni.

Obława podrywa się, a wraz z nią uaktywnia się dramatyczne widowisko. W podniecającym pościgu, pośród okrzyków i przekleństw, nieoczekiwanie motorówka Kostii praktycznie prześlizgnęła się po głowie walenia, nawet trącając go swoją śrubą. Ułamek sekundy później masywne, cygarowe ciało rodem z mitu i historii wynurza się na wyciągnięcie ręki, w swej pełnej krasie. Podniecenie sięga zenitu, podczas gdy gwałtowny gejzer sprężonego powietrza i pary wodnej oraz towarzyszące jemu ostre parsknięcie przyprawiają o palpitację serca. Szczęśliwy traf uchronił od katastrofy, a zdarzało się przecież, że wieloryb zanurkował pod łodzią i wyrzucał w powietrze tropicieli. Takie igranie z losem potrafi napędzić koszmarnego strachu, chociaż – jak powie mi potem 46-letni Anatolij – napięcie i emocje w takich chwilach pobudzają adrenalinę, która zwiększa energię i zapewnia przy tym uczucie euforii.

IGRANIE ZE ŚMIERCIĄ

Ten nader niebezpieczny zawód każdego roku zbiera tu ofiary. Dla miejscowych, którzy nie nauczyli się używać kamizelek ratunkowych, wypadnięcie za burtę może być równoznaczne ze śmiercią, bo ze względu na niską temperaturę nigdy nie nauczyli się pływać. Ale i kapoki asekuracyjne nie zawsze mogą być przydatne, zważywszy, że w lodowatych wodach śmierć z powodu hipotermii następuje bardzo szybko. Pozostaje mieć nadzieję, że współtowarzysze zdążą przyjść na czas z pomocą.

Rok temu po wywróceniu szalupy zaplątany w linach zginął wytrawny wielorybnik z Lorino, potem w wodach Cieśniny Beringa utonął jego pijany kolega. Jeśli do tego dodać wzburzone morze, mgłę czy dryfujący lód, to złowrogi obraz będzie bardziej kompletny. Starsi ludzie pamiętają, że kiedyś myśliwi nawet nie wracali po tych, którzy znaleźli się w wodzie, bo wierzyli, że wpadli w złe moce „Keli", żabnicy, diabła głębinowego o niebiańskim smaku, z którym lepiej nie zadzierać. Ten zwyrodniały zwyczaj miał też makiawelskie tłumaczenie: jeśli zaangażują się w akcję ratunkową, to mogą przegapić łup, a wtedy cała wioska będzie przymierać z głodu. Wybierali zatem mniejsze zło. W XIX w. w Stanach Zjednoczonych stwierdzono, że wielorybnictwo przemysłowe pochłaniało rocznie więcej istnień ludzkich niż jakakolwiek inna dziedzina gospodarki.

Wysoka wartość produktów, które można otrzymać z tych zwierząt, była powodem, dla którego ten sektor tak dynamicznie się rozwijał. Najbardziej cenionym substratem był olej wielorybi używany jako paliwo do lamp oświetlających domy i ulice. Z tłuszczu wytwarzano mydła, kleje, farby, proszek do prania, świece czy nawet margarynę. Giętkich fiszbinów używano do produkcji gorsetów i parasoli. Z zębów rzeźbiono klawisze instrumentów i guziki oraz kunsztowne ozdoby. Szczególnie cennym surowcem była używana do wyrobu perfum ambra – szara substancja powstająca z niestrawionych resztek kałamarnic w jelitach kaszalotów. Dziś poluje się głównie ze względu na ich mięso oraz tran.

Mówi się, że pływacze szare są najbardziej niebezpiecznym zwierzęciem, na jakie kiedykolwiek polował człowiek. Są ciekawskie i wesołe i same nie wykazują agresji w stosunku do ludzi. Jednak w sytuacji zagrożenia mogą przeistoczyć się w agresywnego zabójcę. Historia pokazuje, z jaką łatwością rozwścieczony waleń potrafi roztrzaskać łódź i posłać załogę na dno lub rozbić burtę drewnianego statku wielorybniczego. W listopadzie 1820 r. na Pacyfiku staranowany został statek „Essex". Dwudziestoosobowa załoga przez trzy miesiące walczyła o przetrwanie, niektórzy zginęli z pragnienia, głodu i chorób. Legendarna katastrofa stała

Wielorybnik rzuca pierwszy harpun
FOT. ARCHIWUM AUTORA

Ranny wieloryb staje się bardzo agresywny FOT. SHUTTERSTOCK

się inspiracją dla Hermana Melville'a do napisania kulminacyjnej sceny łowieckiej w kultowej powieści „Moby Dick".

POLOWANIE JAK ŚWIĘTO

Tym razem Wołodia, najbardziej doświadczony brygadier, mocnym rzutem niezawodnie trafił harpunem w ciemnoszarą skórę z masą wczepionych miniaturowych muszelek, legowisko pąkli, pasożytniczych skorupiaków, podczas gdy sternik wyrwał się z pułapki, unikając uderzenia ogona o dużej masie. (Tradycja i metody polowań na wieloryby nie uległy większym zmianom od ponad tysiąca lat, harpuny też mają taką samą konstrukcję jak niegdyś, co poświadcza spektakularna galeria setek wyrazistych rysunków naskalnych odkrytych w 1965 r. nad rzeką Pegtymel w północnej Czukotce). Osadzony na drewnianym drzewcu harpun z grotem z zadziorami wbił się w 30-tonowe cielsko, kotwicząc w nim umocowaną na linie plastikową jasnoczerwoną boję, nazywaną tutaj „puff-puff", która ciągnie się za nim. Ma ona wyczerpać fiszbinowca i zmusić go do jak najczęstszego wypłynięcia na powierzchnię. Ponadto spowalnia jego ruchy i, co ważne, nie pozwala stracić ofiary z oczu.

Zaczepienie pływaka oznacza wypełnienie pierwszego zadania, a jednocześnie połowę polowania. Łódki z warczącymi motorami rwą w ślad za nim. Czekają, aż pływacz pojawi się ponownie. Kiedy ofiara się wynurza, by zaczerpnąć powietrza, motorówki niczym szakale okrążają ją w odległości kilku metrów. I tym razem po celnym rzucie kolejna boja pojawia się pośród morskich fal. Po 10 minutach ponownie ukazuje się ogromna głowa ranionego walenia, który próbując uwolnić się od dokuczliwych prześladowań, miota się, przesuwając ogromną masę wodną, która grozi wywróceniem odległej od niego o metr łodzi. Tropiciel jakimś ekwilibrystycznym ruchem, na ułamek sekundy przed zniknięciem potężnego ciała z powrotem w morzu, plasuje harpun i kolejny pływak.

Krwawiący morski gigant nie ma już szans ucieczki przed polującym. Siedem boi wyraźnie spowolniło rannego ssaka, który jednak wciąż dawał dowód swojego animuszu. Aby uniknąć śmierci z powodu utraty krwi i opadnięcia na dno, jeden z ciemiężycieli oddaje kilkadziesiąt strzałów z broni strzeleckiej, które przerywają jego mękę. Po pięciu godzinach nierówna walka dobiegła końca. Po obwiązaniu ogona linami można odholować tuszę zdobyczy do osady, gdzie z pomocą traktorów wyciągną go na brzeg. Ta chwila wzbudza duże ożywienie licznie przybyłych tu mieszkańców wsi.

Dla ludzi całkowicie uzależnionych od połowów morskich udane polowanie jest uroczystym świętem. Stoją teraz z nożami, beczkami, torbami, wózkami i z pełną szacunku niecierpliwością czekają na sygnał, że można kroić. Tradycyjnie zaczyna ten, który pierwszy wbił harpun. Twardzi, odporni na trudy, nieznający lęku mężczyźni, zahartowani wśród niebezpieczeństw niczym bohaterowie „Moby Dicka", w swojej osadzie uważani są za herosów. Łowczy rytualnie kroją dla siebie nożami w formie kosy kilkadziesiąt kilogramów najlepszych, grubych na długość dłoni płatów mantaka, skóry ze słoniną, po czym zostawiają miejsce oczekującym na tę chwilę. Każda osoba może wziąć tyle, ile potrzebuje. Ponieważ połowy mają charakter niekomercyjny, mięsa nie można sprzedawać, resztki zostaną złożone w naturalnej lodówce z wiecznej zmarzliny. Część łupu nienadająca się do spożycia zostanie oddana psom.

Niektórzy, tęskniąc za świeżym mięsem, pośpiesznie, nie czekając na obiad, już na brzegu przygotowują do jedzenia świeży przysmak, jakim jest mantak. Kroją go na małe kostki, obficie posypują solą i konsumują na surowo. Smakuje dziwnie, trochę łącząc w sobie intensywność wołowiny z lekkim rybnym posmakiem. W osadzie jedzą go na różne sposoby: marynowany, w formie kotleta czy pierogów. Modne restauracje w Oslo czy Tokio oferują steki z wieloryba, niby jadło nieprzyjazne dla środowiska, ale wciąż stanowiące kulinarną atrakcję dla turystów.

Wiadomo, że ofiara Eskimosów, samica, urodziła się w ciepłych wodach Zatoki Meksykańskiej i że każdego roku, po pokonaniu 6 tys. km, docierała do bogatych w pożywienie żerowisk na południe od Cieśniny Beringa, aby uzupełnić swoje zapasy tłuszczu. Tu wypasała się praktycznie 24 godziny na dobę. Można przypuszczać, że podczas długiej wędrówki niejednokrotnie agresywnie broniła swego potomstwa przed skoordynowanym atakiem jednych z najskuteczniejszych drapieżników, jakie kiedykolwiek istniały na naszej planecie, czyli orek oceanicznych. Im nie zagrażają żadne inne zwierzęta, nawet tak bezwzględni zabójcy jak żarłacz ludojad czy rekin tygrysi. Samica przeżyła czasy, kiedy jej gatunek był już bliski wytępienia, i uchodziła z życiem przed orkami, najgroźniejszym, obok człowieka, wrogiem. Tego ostatniego nie spotkała nigdy wcześniej podczas swoich kilkudziesięciu podróży. Lada dzień miała wyruszyć w kierunku swoich rodzinnych, ciepłych akwenów. Nie zdążyła.

Po dwóch wiekach bezlitosnego zabijania na masową skalę zapotrzebowanie na walenie spadło. Miejscowa ludność Syberii oraz Alaski i północnej Kanady wciąż jednak korzysta dla potrzeb własnych z przyzwolenia na przybrzeżne łowy. I chociaż międzynarodowa regulacja zezwala na „mądre" polowanie po odbudowaniu populacji tych ssaków do 54 proc. istniejącej przed okresem przemysłowego wielorybnictwa, to dzisiaj specjaliści uważają, że polowania przestały już być opłacalne z ekonomicznego punktu widzenia. Jednocześnie dobry interes robi przemysł turystyczny kilkudziesięciu krajów, proponując miłośnikom przyrody niepowtarzalny spektakl cieszących się wręcz mistyczną sławą gigantów mórz w ich naturalnym środowisku

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest reporterem, eksploratorem, odkrywcą źródła Amazonki, twórcą survivalu w Europie.